

NIEZNANA KOMEDIA ALEKSANDRA FREDRY

»INTRYGNA NA PRĘDCE«

WYDAŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ

HENRYK CEPNIK

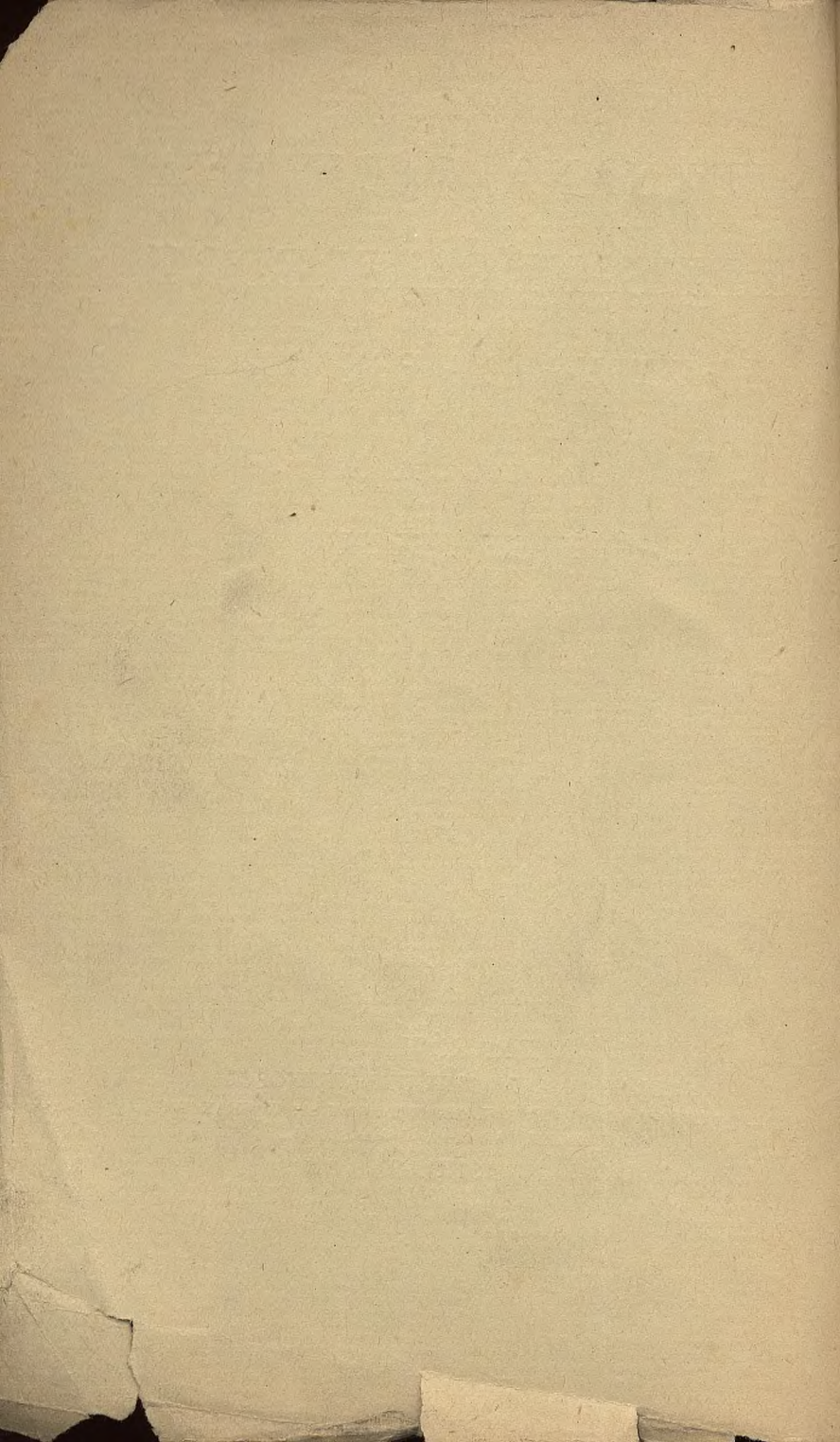


KRAKÓW

NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SP. W KRAKOWIE,
GEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE

1917.



NIEZNANA KOMEDYA FREDRY

(INTRYGNA NA PRĘDCE)

НИЖНЯЯ КОМЕРЦІА БУДОВА

(ПІСЬМА ЗА ПІСЬМА)

NIEZNANA KOMEDIA ALEKSANDRA FREDRY

»INTRYGNA NA PRĘDCE«

WYDAŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ

HENRYK CEPNIK

KRAKÓW

NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SP, W KRAKOWIE,
GEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE

1917.

108336

II



Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem Józefa Filipowskiego.

Nieznana komedia Fredry.

Wydał i wstępem opatrzył

Henryk Cepnik.

Działalność komedyopisarską Fredry zwykło się datować od »Pana Geldhaba«, który też figuruje zawsze na pierwszym miejscu w zbiorowych wydaniach dzieł scenicznych autora »Ślubów pańieńskich«. Przyznał mu zresztą prawo do tego zaszczytu sam poeta, umieszczając tę właśnie komedię na czele pierwszego, dwutomowego wydania dzieł swoich z r. 1826, własnym kosztem w Wiedniu ogłoszonego. Nadało to »Panu Geldhabowi« do pewnego stopnia cechę jakby pierwszej wogóle komedyi Fredrowskiej. W rzeczywistości tak nie jest, a także sam Fredro uważał inny zupełnie utwór za swą »pierwszą komedię«, swój »plód pierworodny«.

Utworem tym, który faktycznie zainaugurował twórczość komedyopisarską Fredry i, co więcej, wystawiony na scenie, wyprzedził warszawską premierę »Pana Geldhaba« z r. 1821 o całe cztery lata, była jednoaktowa komedia wierszem p. t.: »*Intryga na prędce*«.

Fredro: *Intryga na prędce*.

O istnieniu tej komedyi, jak wogóle o całym przedgeldhabowskim okresie w twórczości Fredry, wiedzieliśmy dotąd tyle tylko, ile przekazał nam w tej mierze sam poeta w swej autobiografii, ogłoszonej w r. 1876 przez Lucyana Siemieńskiego w warszawskiej »Kronice Rodzinnej«. Wiedzieliśmy zatem, że taki utwór był rzeczywiście napisany i że był pierwszą wogóle próbą sił dwudziestodwuletniego podówczaś poety na polu komedyi, że był nawet grany na scenie, że jednak następnie gdzieś zaginął. Na tem kończył się cały zasób naszych wiadomości o tej pierwszej komedyi Fredry — sama komedya uchodziła za bezpowrotnie zaginioną, a o treści jej można było wnioskować tylko z podanego przez poetę szczegółu, iż tego właśnie utworu użył później za podstawę do napisania »Nowego Don Kiszota«.

Aż oto obecnie ta rzekomo zaginiona pierwsza komedya Fredry odnalazła się szczęśliwie, a odnalazła się w zbiorach lwowskiej, od kilku lat miejskiej, biblioteki teatralnej przy sposobności katalogowania ich przez podpisanego. Jakim sposobem mógł taki cenny unikat przeleżeć tam bez zwrócenia na siebie czyjejkolwiek uwagi tak długie dziesiątki lat — trudno doprawdy pojąć, jeszcze trudniej wytłómaczyć. Należy bowiem nadmienić, że wspomnianą bibliotekę teatralną, przed nabyciem jej przez gminę na własność, niejednokrotnie badali i oceniali rozmaici znawcy, że parę razy sporządzano jej inwentarz, że istnieje od dawna szczegółowy jej katalog abecadłowy, w któ-

rym »Intryga na prędcie« zaciągnięta jest pod nr. 241, że wreszcie, a także w ostatnich już latach, korzystano często z tej biblioteki dla celów literackich. I mimo wszystko nikt nawet nie pomyślał o tem, aby z prostej bodaj ciekawości zajrzeć do egzemplarza, opatrzonego tak bijącym w oczy, bo znanym z każdej niemal biografii Fredry tytułem, — i w rezultacie »Intryga na prędcie« uchodziła w dalszym ciągu za utwór bez śladu przepadły.

Dajmy jednak pokój refleksyom z tego powodu. Dość, że odnalazła się szczęśliwie komedia, którą przez tyle dziesiątków lat kazano nam uważać za zaginioną, i że odtąd możemy mówić o tym »płodzie pierworodnym« muzy Fredrowskiej jako o rzeczy istniejącej, gdy do tej pory wystarczać nam musiała jedynie podana o niej lakoniczna wzmianka poety. A choć nawet komedia ta w niczem istotnem nie zmienia ustalonego już na całokształt twórczości autora »Ślubów panieńskich« poglądu — jest jednak bardzo cennym i pożądanym z wielu względów przyczynkiem do dziejów tej twórczości, pozwala nam bowiem pochwycić pierwsze tętno rozbudzonego talentu i tem samem o nowy rys wzbogaca charakterystykę duchową mistrza komedii polskiej.

Zaczynał on podówczas dwudziesty trzeci rok życia, ale miał już za sobą bogaty zasób doświadczenia życiowego, zdobytego w kilkuletnim mozoie i trudzie wojennym, w owej »szkole świata«, o której sam trafnie mówi, że jest »najprakty-

czniejsza, najbardziej urozmaicona, a zarazem najponętniejsza ze wszystkich szkół, w jakich się mamy uczyć doświadczenia«. Kształcił się zaś Fredro w tej twardej szkole, jak wiadomo, długo. Zaciągawszy się wyrostkiem szesnastoletnim w szeregi wojsk narodowych Księstwa Warszawskiego, przez sześć lat bez mała w nich wytrwał, biorąc czynny udział w końcowej fazie wojen napoleońskich, aby po abdykacyi »boga wojny«, w randze kapitana, a z krzyżami »virtuti militari« i legii honorowej na młodej piersi, ale o pożyczonym groszu, wrócić pod dach rodzicielski. Jakże jednak zmienionym! Opuszczał dom rodzinny »z radośnem uniesieniem« — wracał wprawdzie »z pękiem doświadczenia różnego rodzaju«, ale »bez celu«, a w dodatku z uczuciem goryczy i rozczarowania, uczuciem tem przykrzejszem, im gorętsze było owo uniesienie, które powiodło go pod sztandary napoleońskie.

W tym nastroju duchowym znalazłszy się na bruku lwowskim, Fredro, więcej przymuszony stosunkami towarzyskimi, niż z popędu własnego, dał się porwać w wir rozbawionego nad miarę życia, jakim tętnił Lwów podówczas. Nieswojsko mu było jednak w tej atmosferze, ale — jak sam opowiada o tym okresie — »choć wewnętrznie czuł niesmak, a tem samem potrzebę ukazania jak w zwierciadle fizyognomii tego społeczeństwa temu samemu społeczeństwu, aby się zreflektowało i weszło w siebie, nie śmiał przecież

chwycić za pióro, nie mając jeszcze objawienia autorskiego zawodu».

Niebawem jednak i ono przyszło.

Tu oddaję głos samemu poecie, bo przytoczony niżej wyjątek z cytowanej już poprzednio autobiografii wiąże się bezpośrednio z pierwszą komedią Fredry: »Intrygą na prędcę«.

»Szczęśliwy traf — opowiada Fredro — sprowadził mi żyda, antykwaryusza, co chodząc po domach z książkami, przyniósł Moliera. Zapłaciłem mu dukata, a zabrałem arcydzieła, dotąd mi prawie obce, bo jedną tylko komedię tego mistrza miałem sposobność widzieć na scenie paryskiej.

»Biorąc za przewodnika wzór tak nieśmiertelny, wyraźniej zacząłem pojmować powołanie autora dramatycznego i odtąd wziąłem się do studyów na seryo.

»Z ojczystych wzorów, osobliwie współczesnych, nie wiele mogłem korzystać, gdy nawet na samym wstępie, zwyczajem młodocianym, porwałem się do skrytykowania świeżo wyszłej komedyi Niemcewicza »Pan Nowina«, którą porąbałem w niemiłosierny, a jak teraz widzę, w najniedorzeczniejszy sposób.

»Szermierka ta dodała mi jednak odwagi, gdy pewnego dnia, bez żadnego przygotowania, prawie bez namysłu, zasiadłem do stolika i napisałem wierszem jednoaktową komedię »Intryga na prędcę«, z której to później w rozszerzonych ramach zrobił się »Nowy Don Kiszot«.

»Napisawszy tę pierwszą komedję, wdziałem się w kłopotliwem położeniu. Szło mi o to, żebym mógł komu płód pierworodny przeczytać, zasięgnąć zdrowej rady i dowiedzieć się, czy warto psuć czas i papier. Na nieszczęście nie było żadnego literackiego ogniska, żadnej powagi, do której miałbym nie już zaufanie, lecz śmiałość. Wprawdzie zaczął był Adam Chłędowski redagować »Pamiętnik Lwowski«, lecz płomień, wznoszący się z tego stosu surowych gałęzi, nie grzał, ani świecił. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko przez trzecią osobę posłać moją komedję Janowi Nepomucenowi Kamińskiemu, jedynemu znawcy i doświadczonemu praktykowi. Kamiński komedję poprawił i zrobił uwagę, że jest w niej jakiś plan logicznie przeprowadzony. Komedya była grana i nikt o niej nie wspomniął; odebrałem ją do poprawy, aby już nigdy nie wróciła na scenę«.

Oto geneza i losy pierwszej komedyi Fredrowskiej, z którą z kolei bliżej się nam zaznajomić wypada.

Dosłowny tytuł utworu brzmi:

Intryga na Prędcę

czyli

Niema złego bez dobrego.

Komedya w 1-ym Akcie wierszem.

U dołu karty tytułowej znajduje się dopisek: »1-go kwietnia 1915« — niewątpliwie data ukończenia komedyi. Cały rękopis, bardzo dobrze i czy-

sto zachowany, liczy razem z tytułem i spisem osób 50 stroniec zapisanych, dwie czyste, wszystkie nieliczbowane. Format in quarto, papier bibulasty, żółtawego koloru, pismo nadzwyczaj staranne, niemal kaligraficzne. Sama komedia pisana jest cała jedną ręką, natomiast znajdujące się w egzemplarzu liczne poprawki i dopiski uskutecznione zostały inną ręką. Na ostatniej zapisanej stronicy rękopisu, u dołu, znajduje się notatka cenzury: »Gelesen und wird zugelassen. Lemberg am 17 Juni 816«, zaopatrzona dwoma podpisami, z których pierwszy »Fraposta«, drugi nieczytelny.

W powyższym opisie rękopisu uderzyć musiał każdego brak jednej rzeczy: — nazwiska autora. Istotnie, niema go zupełnie; komedia jest anonimową. Ale autentyczność jej jako komedii Fredrowskiej nie podlega żadnej kwestyi, a stwierdzają ją niezbiecie szczegóły, podane przez Fredrę w zacytowanym poprzednio ustępie z jego autobiografii.

Przedewszystkiem tytuł jest ten sam. Następnie poeta zaznacza wyraźnie, że »Intryga na prędcie« była jednoaktową komedią wierszem, a odnaleziony obecnie utwór jest również jednoaktowy i wierszem pisany. Dalej daty, jakie znajdujemy w rękopisie, zgadzają się w zupełności z tem, co opowiada Fredro w swej autobiografii. Wspomina on tam mianowicie o »świeżo wyszłej« komedyi Niemcewicza »Pan Nowina«, oraz o »Pamiętniku Lwowskim«; otóż pierwsza ukazała się

w r. 1815, drugi zaś zaczął wychodzić w r. 1816, a właśnie te dwie daty zaznaczone są wyraźnie w rękopisie i ustalają dokładnie czas powstania komedyi w związku z podanymi przez Fredrę szczegółami. Także i wzmianka poety o wystawieniu jego komedyi znajduje potwierdzenie w egzemplarzu, który mam pod ręką, a śmieszem byłoby przypuszczenie, żeby w tym właśnie czasie mogła być grana na scenie lwowskiej inna jakaś, a nie Fredrowska »Intryga na prędcę«. Wreszcie sam nawet fakt, że na rękopisie niema nazwiska Fredry, zgadza się z zaznaczonym przez poetę szczegółem, iż posłał swój utwór Kamińskiemu »przez trzecią osobę«, a więc chciał jako autor pozostać w ukryciu.

Ale jest jeszcze jeden, a najsilniejszy dowód na to, że odnaleziona komedia jest pierwszą komedią Fredry. Dostarcza go wzmianka poety, że z tej komedyi »później w rozszerzonych ramach zrobił się »Nowy Don Kiszot«. Dowód ten wystarcza za wszystkie inne, należy bowiem tylko porównać oba te utwory, aby się przekonać o ścisłym pokrewieństwie, jakie między nimi istnieje. Nietylko założenie w obu komedych jest jednakie, ale także znajdujemy tu i tam te same osoby działające, a niektóre z nich nawet tak samo się w obu utworach nazywają; co więcej — są w »Nowym Don Kiszocie« ustępy, dosłownie powtórzone z »Intrygi na prędcę«, żeby wspomnieć o tak charakterystycznych, jak sceny 1 i 5 w »Intrydze«, a 3 i 6 w »Nowym Don Kiszocie«.

Wszystko to ponad wszelką wątpliwość stwierdza, że komedia, którą obecnie ogłaszam, jest identyczna z ową przez Fredrę wymienioną, która dotąd uważana była za jego zaginioną »pierwszą komedię«.

Podany w dalszym ciągu dosłowny jej przedruk uwalnia mnie od opowiadania jej treści. Nie będę się także wdawał w ocenę jej zalet i wad, zostawiając to bardziej fachowym piórom. Niech mi wolno będzie tylko mimochodem rzucić garść uwag, poczynionych przy odczytywaniu tego »płodu pierworodnego« muzy Fredrowskiej.

W niejednokrotnie już powyżej cytowanej autobiografii Fredro zaznacza wyraźnie, że zabrał się »na seryo« do komedyi pod wpływem lektury Moliera i że pierwszym hołdem, złożonym temu mistrzowi, była właśnie »Intryga na przedce«. Należałoby, jak zwykle w takich wypadkach, oczekiwać, że pod tak bezpośrednim wpływem napisany utwór nosi wszelkie cechy naśladownictwa. Tymczasem, jeżeli pominiemy pewne typowe, a czysto zewnętrzne właściwości techniki Molierowskiej (wybitny udział w akcji służącego i przebieranie się innej osoby działającej), nie znajdujemy w tej »pierwszej komedii« Fredry naprawdę nie takiego, co by mogło uchodzić za niewolnicze naśladownictwo Moliera. Zakrój całości jest niezaprzeczenie w typie farsy Molierowskiej, z zachowaniem niektórych konwencyonalności techniki francuskiego komedyopisarza, ale ogólne wrażenie, jakie daje ten utwór, jest wrażeniem rzeczy

samodzielnej, oryginalnej. Nowy to dowód, że, jak w dalszej swej twórczości, Fredro, mimo całego uwielbienia dla twórcy »Tartuffe'a«, umiał już nawet w tym pierwszym, pod bezpośrednim wpływem Moliera napisanym utworze, zachować swą indywidualność i odrębność, ustrzedz się ślepego naśladownictwa.

Interesująca z tego względu, jest »Intryga na prędcie« interesującą dla badacza twórczości Fredry także i pod innym względem. Fredro, którego początkowa edukacya umysłowa była wogóle bardzo wadliwa, sam wyznaje, iż dopiero w r. 1810, już jako żołnierz, »po raz pierwszy dowiedział się, że mógłby składać wiersze«. Zaczął też je pisać około tego czasu, ale tak sobie zupełnie samorodnie, nie mając wtedy jeszcze nawet pojęcia o zasadniczych prawidłach rymotwórstwa, a przytem bez jakichś wyższych pretensyi i aspiracyi, gdyż, jak sam opowiada, »na obcowanie z muzami nie miał wcale czasu, ani też, będąc żołnierzem, nie tęsknił za ich towarzystwem«. Dopiero po powrocie do kraju przyszło na niego »objawienie autorskiego zawodu«, pierwszym zaś świadomym wyrazem tego objawienia była właśnie »Intryga na prędcie«.

Wiedząc o tem wszystkiem, dziwić się tem więcej należy poprawności, jaka cechuje tę »pierwszą komedye« Fredry. Zapewne, do doskonałości jej daleko, braków, usterek i wad w niej niemało, ale mimo wszystko, rozważana w całości, sprawia ona jaknajkorzystniejsze wrażenie, zwłaszcza, gdy

się ma na uwadze, że to pierwsza próba sił autor-
skich. Wiersz ogółem wcale gładki i płynny, ję-
zyk prosty, jędrny i żywy, gdzieniegdzie zaś nie
pozbawiony poetycznego zabarwienia, styl jasny
i niewymuszony, tok myśli logiczny i konsekwen-
tny, dyalog łatwy i naturalny — wszystko to, po-
mimo pewnych tu i ówdzie nierówności czy nie-
dociągnięć, nadaje »Intrydze na prędcę« znamię
rzetelnego, pomyślnie się zapowiadającego i o nie-
wątpliwem już wyrobieniu talentu pisarskiego.

Jest także ta komedia wymownem świadec-
stwem, że już w tym pierwszym utworze scenicz-
nym Fredro czuł scenę i rozumiał jej wymagania,
jej psychikę. Sporo w nim wprowadzie jeszcze dy-
letanctwa, sporo naiwności, sporo rzeczy niepra-
wdopodobnych lub przesadzonych, ale zmysł
w kombinowaniu efektów scenicznych jest już w tej
pierwszej próbie, i to w znacznym stopniu, układ
zaś i przeprowadzenie całości, ogólnie biorąc, za-
świadczają jak najlepiej o istotnem uzdolnieniu
w zakresie tworzenia dramatycznego. A nie za-
pominajmy, chcąc tem sprawiedliwiej ocenić tę
»pierwszą komedye« Fredry, że napisał on ją, jak
sam zaznacza, »bez żadnego przygotowania, pra-
wie bez namysłu«, i że na punkcie znajomości
teatru był on w owym czasie jeszcze prawie zu-
pełnym laikiem, zetknął się bowiem z teatrem
i nabrał »jasnego pojęcia o tej potędze sztuki«
dopiero na niedługo przed powrotem do kraju,
w czasie swej krótkiej bytności w Paryżu.

Wogóle dla studyum nad rozwojem twórczo-

ści Fredry jest »Intryga na prędcie«, jako pierwsza próba talentu poety w dziedzinie komedyopisarstwa, przyczynkiem równie ciekawym, jak cennym, niewątpliwie też ogłoszenie jej drukiem wywoła wśród wielbicieli »Ślubów panieńskich« szczere zadowolenie. Wprowadza nas bowiem ta »pierwsza komedia« Fredry w znany do tej pory jedynie z opowieści samego poety okres, w którym talent jego zrywał się do lotu, i pozwala poznać się z najwcześniejszym objawem tego budzącego się dopiero talentu, który w niewiele lat później miał słonecznym blaskiem rozświetlić horyzont polskiej twórczości, polskiej sztuki dramatycznej.

Na zakończenie słów parę o wystawieniu »Intrygi na prędcie« na scenie lwowskiej.

Było to w czasach, gdy niestrudzoną energią i wysiłkiem przez Jana Nepomucena Kamińskiego podtrzymywana scena polska we Lwowie wywalczała sobie dopiero prawo egzystencji. Walka była twarda i ciężka. Nietylko z uprzywilejowaniem teatru niemieckiego, któremu ubożuchna scena polska drogo opłacać się musiała i który zabierał jej najlepsze dni przedstawień w tygodniu, walczyć trzeba było, nietylko z utrudnieniami ze strony władz i cenzury, ale także z apatyą polskiej publiczności, którą zwabiać trzeba było do teatru rozmaitemi »Syrenami z Dniestru« i »Marcinowem z Dunaju« lub takimi arcydziełami, jak »Kajcio Tuczybrzuch z Cielątkowie«, »Rinaldo Rinaldini«, »Sroka złodziej« i t. p. Ile poświęcenia

i zaparcia się wymagało prowadzenie teatru w takich warunkach, ile trzeba było hartu i niezłomnej woli, aby wytrwać na posterunku — nie trudno to sobie wyobrazić. A jednak nie odwieść nie potrafiło Kamińskiego od raz powziętej idei. Wytrwale, z uporem niemal, a wśród najprzeróżniejszych przeciwności, budował on mozolnie fundamenty pod gmach kultury teatralnej w stolicy kraju, sam jeden wystarczając za wszystkich, bo i dyrektorem był, i administratorem, i reżyserem, i aktorem w jednej osobie, a w dodatku jeszcze autorem, tłumaczem lub przerabiaczem niezliczonych sztuk. Na wszystko miał czas, wszystkiemu umiał podołać — prawdziwy tytan pracy, uosobienie niewyczerpanej energii, przedsiębiorczości i wytrwałości.

W jego to ręce, a przez trzecią osobę, złożył Fredro anonimowy swój utwór. I nie doznał zawodu. Kamiński nie tylko komedję »pochwalił«, ale i przyjął ją do grania. W ten sposób »Intryga na prędcie« dostała się na scenę. Wystawiono ją — jak wynika z »Rocznika Teatru Polskiego« na rok 1817 — w dniu 10 marca tegoż roku razem z trzyaktowym, przez Kamińskiego tłumaczonym dramatem Kotzebuego p. t.: »Edward w Szkocyi, czyli Noc prześladowanego«.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zachowała się nawet obsada ról, w jakiej grano tę »pierwszą komedję« Fredry. Oto razem z odnalezionym egzemplarzem sztuki znalazły się i role z wypisaniami na nich nazwiskami grających. Grano mia-

nowicie »Intrygę na prędcie« w następującej obsadzie:

Kasztelan — Karol Łopuszański.

Edward — Antoni Benza.

Marysia — Aniela Rutkowska.

Gospodyni — Anna Salowa.

Michał — Szczęsny Starzewski.

Kmotr — Jan Starzewski.

Pocztylion — Jan Nep. Nowakowski.

Nazwiska te mówią bardzo wiele. Świadczą one, z jaką życzliwością zajął się Kamiński utworem nieznanego sobie nawet z nazwiska autora, jeżeli wykonanie jego powierzył najlepszym swoim artystom, takim, jak Benza, S. Starzewski, Nowakowski, Salowa i Rutkowska, pierwsza amantka ówczesnej sceny lwowskiej i ulubienica publiczności. Nie teatru też, ani tem mniej Kamińskiego było winą, że komedia Fredry grana była tylko jeden raz, ale ówczesnych stosunków teatralnych, wśród których po jednym przedstawieniu znikaly z afisza nawet takie utwory, jak »Makbet«, »Król Lear«, »Otello«, »Emilia Galotti«, »Wesele Figara« i podobne, bo publiczność żądała innej zupełnie strawy, a teatr musiał ją dawać, aby żyć. Zresztą, w tym samym sezonie, co »Intryga na prędcie«, grano na scenie lwowskiej zupełnie nową wówczas komedję tak głośnego i popularnego w całej Polsce autora, jak Niemcewicz, mianowicie »Pana Nowinę«, i grano ją także tylko jeden raz. Widocznie na więcej nie pozwalał system, narzucony Kamińskiemu i teatrowi przez samą publi-

czność, którą współczesny świadek tak scharakteryzował: »Bądź pewnym, że na sztukach Kornela, Woltera, Szyllera, Ifflanda zliczysz widzów na palcach; lecz kiedy ogromny afisz ogłosi »Syrenę z Dniestru«, siedź w domu, bo cię uduszą. Nie trudno ci przyjdzie poznać, że przyczyną tego smaku jest brak oświecenia«.

Faktem jest, że Kamiński wobec komedyi Fredry uczynił wszystko, na co go stać było, dając ją w pierwszorzędnej obsadzie. Reszta nie od niego już zależała, ale od innych czynników, które z czasem dopiero się wyrobiły, a to w miarę, jak wyrabiała się na lwowskim gruncie fachowa krytyka teatralna. W czasie wystawienia »Intrygi na prędcie« krytyki teatralnej we Lwowie jeszcze nie było. Czasem, a z rzadka tylko, wspominała o teatrze jedyna podówczas reprezentantka lwowskiej prasy codziennej, »Gazeta Lwowska«, ale właściwą krytykę teatralną zapoczątkował dopiero około 1818 r. »Pamiętnik Lwowski«. To też, jeżeli Fredro pisze w swej autobiografii, że o komedyi jego »nikt nie wspomniał«, stało się to dlatego, że wtedy jeszcze »wspomnieć« o niej nie było komu, bo krytyka teatralna jeszcze nie istniała.

Henryk Cepnik.

UWAGA. Akademia Umiejętności, wydając swoim nakładem ten ciekawy zabytek literatury polskiej, trzyma się zasad wydawniczych, których zwykle w podobnych razach przestrzega, to jest modernizuje pisownię, ale zachowuje język autora wraz z jego błędami, te ostatnie wskazując niekiedy odpowiednimi znakami, ale ich nie poprawiając. Dodatkowo należy zaznaczyć, że imię głównego bohatera, Edward, pisane jest w pierwszej połowie autografu stale przez *u* (Eduard) i dopiero w drugiej połowie występuje w poprawnej formie. W druku ta różnica nie została uwzględniona, więc tu się ją zaznacza.

INTRYGNA NA PRĘDCE
czyli
NIEMA ZŁEGO BEZ DOBREGO

Komedyja w 1-ym akcie wierszem.

1-go kwietnia 1815.

INTRYGNA NA PRZEDCIE

WYDAŁ DZIŚ W KRAKOWIE
W KRAKOWIE W DZIŚNIACH 1815

1-go kwietnia 1815

OSOBY:

KASZTELAN UCZCIWSKI.

EDWARD, syn jego.

MARYSIA, wychowanica kasztelana.

GOSPODYNI karczmy..

MICHAŁ, służący Edwarda.

KMOTR, stróż karczemny, głuchy.

POSTYLION.

Scena w karczmie niedaleko Radomia.

OSOBY:

WASZYŃSKI : ONIWAŁ
WOLFA, syn jego.
WYŻYŃSKI, wydzawca państwa
WYŻYŃSKI, lekarz
WOLFA, starszy, Eduarda
WOLFA, starszy, syny.
WOLFA, starszy, syny.

Żona w domu niedaleko Radomia.

SCENA I.

(Teatr wystawia izbę szynkową. Stół i ława przy boku, w głębi tapczan. Drzwi i na lewo i [na] prawo. Noc — kaganiec się pali. Słychać trąbkę pocztarską i kołatanie we drzwi).

KMOTR

(sam, przebudzony na tapczanie).

Co za burzliwy wiecher, aż się dom kołysze...
Chociaż mówią, że głuchy, jednak ja to słyszę...
Grzmot w przerywane trele piekielnie przygrywa,
Piorun tylko z łoskotem czasem go przerywa.

(Słychać trzask z bicia — zrywa się)

Ah! — znowu! O mój Boże!... w same wałnęły wrota...

Karczmiszko pewnie w ogniu, dyabelska robota.

(Chwyta konew i chce wychodzić).

GOSPODYNI *(w alkierzu)*

Hej!... Kmotrze!... Kmotrze!...

KMOTR

Słucham!

GOSPODYNI

Idź, otwórz gospodę.

KMOTR

Aha! wpadł w wodę... Dobrze, *(śmiejąc się)* małą *(s)* zrobił szkodę.

(Kołacząc)

Grzmi, ależ to grzmi ciągle, ognisto i srodze,

Chiba *(s)* pono pies jeden byłby teraz w drodze.

GOSPODYNI

A! Cóż, nie słyszysz, głuchy, ktoś we drzwi kołaczę.

KMOTR

Co się waćpani zdaje, tutaj nikt nie skacze.

(Do siebie)

Jednakże wielkie dziwy -- piorunuje zbliżka,

A żeby też raz jeden, to się nie zabłyska.

(Idzie do okna).

Taę tu pogoda... tylko rześista ciemnota.

Aj... aj... niby wóz jakiś... Człek sztuka (s) we wrota.

Czy to mnie się tak widzi *(przeciera oczy)*, czyli w rzeczy samej.

MICHAŁ *(ze dworu).*

Otwórz-że, głuchy ośle... Godzinę czekamy.

Bóg daj, byś utchnął w progu!... w czworo złamał nogę!

KMOTR *(w oknie).*

Hę... Dokąd?... Do Czworowa pytacie o drogę?...

MICHAŁ *(ze dworu).*

Ale otwórz nam, otwórz, gdzie masz, łotrze, uszy!

KMOTR *(w oknie).*

Jak się mam?... Dobrze... dobrze...

MICHAŁ *(ze dworu).*

Hultaj się nie ruszy,

I pono noc tę całą stać będziem na dworze.

KMOTR.

I owszem, bardzo dobrze... Zaraz wam otworzę.

(Do siebie).

Jacyś, widzę, znajomi, po głosie poznali.

Grzeczni ludzie, najpierwej o zdrowie pytali.

(Wychodzi ze światłem).

SCENA II.

EDWARD — MICHAŁ.

(Edward, wchodząc, kładzie pistolety na stole i z ukontentowaniem chodzi po izbie. Michał rzuca pęk książek i tłumoczek).

MICHAŁ.

Oh! pewnie w same piekło niema gorszej drogi,
 Same przerwy, wyboje i skaliste progi;
 Dziękować trzeba Bogu, że ja i pan cały,
 Że gdzie teraz nie piszczym pod urwiskiem skały,
 Żeśmy nie połamali karków na wywrocie.

EDWARD.

Fraszka... nie w takim ludzie bywają kłopoty.

MICHAŁ.

Fraszka?... a me przypadki czy także są fraszki?
 Moje kozły po błocie pan ma za igraszki?
 A żem twarz poobdzierał po ostrych patykach,
 Żem w zimnych niechęący kąpał się strumykach
 I że dotąd się trzęse (s) — także nic nie szkodzi?

EDWARD.

Ale jeżeliś cały... O cóż ci więc chodzi?
 A im większą zaś pracą ciało się porusza...

MICHAŁ *(przerywając)*.

Tem gorzej.

EDWARD.

Tem mocniejszą staje się i dusza.

MICHAŁ.

Niech ma dusza słabiej, byłem ja był w mocy
 I odtąd się nie włóczył po tak ciemnej nocy.
 Więc panu jeszcze mówię — niech mu kto chce służy,
 Bo co ja, to dalibóg, że nie myślę dłużej.

EDWARD.

Milcz, zgnuśniała bestyjo... leniwy bałwanie,
Już mi się tve naprzykrza wieczne narzekanie.
Wiesz, że jak mam pieniądze, płacę ci wspaniale...

MICHAŁ (*na stronie*).

Rzadkie zdarzenie.

EDWARD (*z gniewem*).

Ale także w łeb wypalę,
Gdy mi będziesz zuchwałym.

MICHAŁ (*przestraszony*).

Wszak to tylko żarty,
A chociażby i w sprzeczce, toć ja nie uparty;
(*na stronie*).

Niema mu co dowierzać... niema co żartować...
Dla romansu pigułką gotów poczęstować.
(*Głośno*).

Jednak po co u diabła, powiedz mi też, panie,
Po nocach się włóczemy (*s*) na karków złamanie?
Nie czekając umyślnie wczoraj nocnej pory,
Nie bylibyśmy wleźli w te ponure bory.
(*Oglądając się*).

A te (*s*) karczmisko stare, co uchowaj Panie!
Jest pewnie czarownika lub diabłów mieszkanie.
Wszakżeśmy kołatali godzinę tu prawie,
Nikt nie wyszedł... panowie byli na zabawie...
Przybiegł jeden (*wstrząsa się, oglądając*), aż mrówki biegają
[po skórze —
Diaból, (*s*) niechaj pan wierzy, w tej głuchej figurze.

EDWARD.

Głupcze, diabłów się boisz, co u ciebie w głowie,
Kiedy ja ci od dawna zawsze jedno mówię,
Że w dzisiejszych romansach już to zaniechali;
Minęła moda, kiedy ich się wszyscy bali,

Teraz te baśnie tylko stare pletą (s) baby ;
 Mędrzec niemi pogardza, wierzy umysł słaby ;
 Ja, który przedsięwziąłem ukształcić twą duszę,
 Poprawiać twoje błędy i objaśniać muszę.

MICHAŁ.

Mnie się zdaje, przerobić trudno serce moje,
 Bo romansów nie lubię, a strasznie się boję.

EDWARD.

Słuchaj : Dzieła dzisiejsze każą wierzyć w strachy...

MICHAŁ (*przerywając*).

Widzi pan !

EDWARD.

...Tych siedliskiem — starożytne gmachy...
 Jaki zamek w ruderach lub klasztorne groby.
 Tam, gdy północ uderza, duch jakiej osoby,
 Środze zamordowanej, na ziemię wychodzi...

MICHAŁ (*oglądając się*).

Ej ! Ciszej, ciszej, panie, bo to nam zaszkodzi.

EDWARD.

W zbroczonej szacie wlecze łańcuchowe pęki
 I póty świat przeraża żałościami jęki,
 Póki prawa nie padnie zemsta na zbrodniarza.

MICHAŁ.

Któż wie, może zarżnięto i tu gospodarza.

EDWARD.

Lecz my w karczmie, nie w zamku, co tobie się zdaje,
 Prędej na to zezwólę, że tu są hultaje.

MICHAŁ.

To jeszcze gorszy widok dla nas biednych gości,
Zamordują nas, panie, bez żadnej litości.

EDWARD.

Trzeba zobaczyć, w jakim pistolety stanie.

(Edward opatruje pistolety).

MICHAŁ.

Lepiej bez krwi wylewu uciekajmy, panie —
Czy nas tu czart wniósł!... Dobra była moja rada,
Lecz panom wszystko głupio, co służący gada..
Mówilem i prosiłem, nie jedźmy z Warszawy...
Nie porzucajmy miasta dla płochy obawy.
Nie... nie... jedź, kiedy każę... Daliżesmy sobie,
Nikt nawet nie zapłacze tu na naszym grobie...
Podetną jak kurczaka *(pokazując)*, smyk... już się trzepocze.
Aj... aj... już się stało, darmo się kłopotę.

(Po krótkim milczeniu)

Żyłbym, gdyby nie pocztarz, ta bestyja wściekła —
Wyszłę ja go wprzód jeszcze na samo dno piekła.

EDWARD.

Ja dam pocztylionowi tryngeld dubeltowy,
Że nam sprawił przypadek taki romansowy.
Te *(s)* po lesie błędzenie, te nocne wyprawy,
Te odmiany są moje najmiłsze zabawy.
Niewymownie podobne lubię awantury.

MICHAŁ.

Co ja, to zaś nie jestem tej samej natury,
I gust mój wytworniejszy, co każdy uwierzy.
Wolę wleźć w miękkie łóżko po dobrej wieczery,
Jak zmoczony, strudzony, do tego o głodzie,
Nocować na tapczanie w zbójeckiej gospodzie. —
Chciałbym tutaj którego widzieć darmozjada,
Co w romansach tak pięknie męstwa opowiada,

Wypadłoby mu piórko, co te baśnie kryśli,
Jakby zwąchał o skórze, że się jego myśli.

EDWARD.

Każdy poziomy człowiek myśli w tym sposobie.
Lepsze, na honor, miałem mniemanie o tobie,
Poznaję bowiem teraz... twa dusza cieleca! —

(*p. k. m.*)

Czyż cię do zwycięstw widok trudów nie zachęca?
Bez nich się człowiek rodząc, jakby się nie rodził,
I ze snu do snu tylko szybko by przechodził;
Syty rozkoszy, w niczem nie mając zawady,
Budziłby się z niechęcią i szedł spać nierady,
Nie znałby, co apetyt, nie znając być głodnym;
Miałby dosyć wszystkiego, nie będąc swobodnym;
Bez pracy nie znanoby spoczynku słodczy —
Bez niej niejeden w świecie nudne chwile liczy.

MICHAŁ.

Ja tam nie wiem, czy wszyscy na świecie są tacy,
Lecz ja chętnie spoczywam, choć unikam pracy.

EDWARD.

Zaden romans najnowszy nie jest tak ciekawy,
Jak me rzadkie zdarzenie i wyjazd z Warszawy.
Pieniądze z długim listem od ojca dostaję,
Zaczyna od napomnień, a przy końcu łaje,
Że się już przerobiłem w miejskiego panicza,
(*z ironią*) Skąd wyniknąć mogące nieszczęścia wylicza,
I żeby im zawczasu położyć granicę,
Pragnie przywieźć z klasztoru swą wychowanicę,
Przed kilkoma latami znaną mi niewiele,
I mieć w dniu jednym razem swaty i wesele.
Oburzyła mnie podła ta myśl oraz płocha,
Z układu brać małżonkę, gdy serce nie kocha.

MICHAŁ.

O! ho... ho... to tatula nie są myśli płochę,
Ma on rozum, rozważył on to nie potroche.

Posażek pewnie dobry... kawał przyległości,
Bo, prawdę mówiąc, trudno z samej żyć miłości.

EDWARD.

O nią jedną, lecz szczerą, błagam ciągle nieba,
Mam dość siły zarobić, by nie żebrać chleba.
W przyjemnym położeniu... na ustroniu świata...
Milsza od pysznych gmachów jest pasterska chata.
Tam z osobą kochaną przepędzając chwile,
Niedostatek i trudy przyjmuje się mile;
Jedne jej uściśnienie wszystko mi nagradza.

(Po krótkim milczeniu)

Nie... nigdy nie usłucham, co chciwość doradza.
Postawię się w tym ojcu, jako syn zuchwały,
Choć łaskę jego stracę i majątek cały.

MICHAŁ.

Lecz na cóż z ojcem takie gwałtowne sposoby,
Może dziś powabniejsze wdzięki tej osoby.

EDWARD.

O! choć ją (!) prawie nie znam, już ją (!) nienawidzę,
Tak się mocno wszystkiemi układami brzydzę;
I co tylko przykładów romanse podały,
Zawsze ojciec okrutny, zawsze syn zuchwały.

(Po krótkim milczeniu)

Przejrzawszy więc, co pisze tatulunio stary,
Przedsięwziąłem obalić jego czeze zamiary,
I aby rzecz prowadzić romansowym tokiem,
Ścigam pewną mężatkę dość przyjaznym okiem.
A gdy w drugiej wizycie, w udanym zapale,
Przysięgam, na kolana padłszy, kochać stale,
I wykraść ofiaruję, potrzebą znaglony,
Wchodzi mąż niespodzianie... Obrazem zdziwiony,
Od wymówek zaczyna, nareszcie w złość wpada;
Ja, wiedząc jak w tym razie postąpić wypada,

Broń daję do wyboru, oraz i godzinę,
Wylewem krwi chcąc zmazać zadaną mi winę. —
Mąż wybiera pałasze.. i okropnym losem,
Przecinam mu nos w dwoje niewstrzymanym ciosem.

MICHAŁ.

Pięknie to, i niech zawsze niebo pana broni.
Lecz po coś uciekamy, kiedy nikt nie goni?

EDWARD.

Po pojedynku każą uciekać zwyczaję;
Gdy zaś gołym ucieczka ciekawszą się staje,
Połowę na grę tracę, resztę na zabawy,
I o sześciu dukatach wyjeżdżam z Warszawy.
Już się jednostajnością podróży znudziłem,
Chociaż dla jej przerwania wciąż pocztmajstrów biłem,
Gdy tejże nocy niebo dobrotliwe zrządza,
Że pocztylion pijany w te lasy zabłądza.
Napadnięty, wystrzelam.. jak ci się wydaje?
Byli to w samej rzeczy na drodze hultaje?

MICHAŁ.

Oh! nie! darmo pan strzelił w pniaczek okopciały,
Aż się gęsto od kuli trzaski posypały.

EDWARD.

No, jeśli tam nie byli, tutaj będą może.
Tymczasem spać się jednak w alkierzu położę.
(*Chce odchodzić*).

MICHAŁ (*zastępując drogę Edwardowi*).

A ja-że mam tu zostać przed drzwiami na warcie?
I czekać na upiorów lub diabłów pożarcie?
O nie, panie, będziemy koło siebie spali!
Kiedyśmy nierozłącznie po ziemi jechali,
Jedźmy-że więc i teraz razem z tego świata.

EDWARD.

Choć cię diabli zaduszą, nie wielka to strata. —
Zostań tu z tą krucicą. W przypadku ataku,
By mnie przestrzedz, wystrzelisz, rozumiesz, łajdaku!

SCENA III.

MICHAŁ (*sam*).

Ah! Rozumiem, rozumiem, choć rozumieć nie chcę.

(*Po krótkim milczeniu*)

Jakiś mróz po mnie chodzi... coś mnie w serce łechce.
Niby strach... niby zimno, (*trzęsie się*) w szczękę bije szczęka...
Jak to sama natura wzdryga się i czleka
Przestrzega, że już bliski śmierci moment srogi.

(*Po krótkim milczeniu*)

Hej... hej... bądźże mi zdrowy, gołąbku mój drogi,
Kasiu Kwiatkiewiczówno! Już cię nie zobaczę,
Już więcej na reducie z tobą nie poskaczę.
(*Kłeka*) O Boże! nie opuszczaj twojego stworzenia,
A gdy z tego wylizę szczęśliwie zdarzenia,
Przysięgam: że już wódki nie wezmę do gęby,
(*Chiba*, że mnie gwałtownie boleć będą zęby)...
W mej garści nie zabawią ni kostki, ni karty...
Porzucę z dziewczętami jakiekolwiek żarty...
Na farynę lub Lewka dytka nie postawię..
Ach! we wszystkim, we wszystkim całkiem się poprawię...
A jak pod Złotym Capem ma noga postanie,
Niech zgine z rąk szynkarki, najłaskawszy Panie!

SCENA IV.

MICHAŁ — KMOTR.

KMOTR.

Waćpan wołasz?

MICHAŁ.

Wszelki duch chwali Pana Boga!
Uf!... zimny pot mnie oblał... Próżna moja trwoga —

To pan głuchy gospodarz... pogadać z nim muszę,
Może też z niego jaką wiadomość wyduszę...
Przybliżmy się z odwagą... (*p. k. m.*) Kłaniam mości panie.
Chciej mi też bez urazy na moje pytanie
Odpowiedzieć, czy czasem w tej karczmie się zdarza...

KMOTR (*przerywając*).

Ehe, od poniedziałku niema gospodarza.

MICHAŁ

(*przypatrując się z uwagą Kmotrowi, na stronie*).

Im więcej się wpatruję, to człek z tego świata,
Bo to na ducha za głupia taka facyjata.
(*Do Kmotra*). Cóż z tobą gadać, kiedyś ty, jak kamień, głuchy.

KMOTR (*śmiejąc się*).

Co się waćpanu widzi... muchy... (*oglądając się*) Gdzież tu
[muchy?

MICHAŁ.

Oto piękna rozmowa — on sobie, ja sobie.

(*Pokazując na migi*).

Idź spać... dobranoc... kłaniam, wszak mi nie po tobie...

(*Kłania się*).

KMOTR.

Kłaniam, a waćpan chyba się prześpisz na stole.

MICHAŁ (*z ironią*).

Jaki grzeczny! Ja jednak noc przechodzić wolę.

SCENA V.

MICHAŁ — KMOTR — POSTYLION.

POSTYLION.

Niech piorun trzaśnie w takie do zajazdu domy!
Błoto w stajni po uszy... ni siana... ni słomy...

Ni koni gdzie przywiązać, żłoby na cielęta;
 Da-że mi się we znaki ta podróż przeklęta.
 I chomąta porwałem na drobne kawałki.
 Bierz ich djabeł... Hej!... słyszysz..., karczmarz, daj gorzałki!

KMOTR.

Co... co...

POSTYLION.

Gorzałki, głuszczo, niech cię porwie lichy.

KMOTR (*dając wódki*).

Ja niezbyt głuchy, tylko waćpan gadasz cicho.

POSTYLION.

W niezawodne twe ręce, mospanie Michale.

(*Pije i napelnia kieliszek*).

MICHAŁ.

Bardzo dziękuję, ale ja nie piję wcale.

POSTYLION.

Co, gorzałki nie pijesz? — hańba i sromota!

MICHAŁ.

Ah! dawniej ja pijałem, lecz zrobiłem wota,
 Że jeżeli szczęśliwie wyjdę z tego lasu,
 Truneczku nie skosztuję już od tego czasu.

POSTYLION.

Tę obietnicę potem dotrzymywać trzeba,
 Nie teraz, gdy ci jeszcze nie pomogły nieba.

MICHAŁ.

A dobra wódka?

POSTYLION.

Przednia!

MICHAŁ (*wahając się*).

Ale ja się boję.

POSTYLION.

Nie bój się, wypij, wypij, przyjmij rady moje (*wypija*).

MICHAŁ.

Prawda! jak nawet teraz sam sobie miarkuję,
Przysięga mnie na żaden sposób nie krępuje.

POSTYLION (*odbierając butelkę*).

Daj tu, sam idź do diabła, nieprzetkana głowo!

(*Nalewa i podaje Michałowi — Kmotr odchodzi i kładzie
się na tapczanie*).

Na, wypal ten kieliszek, a będzie ci zdrowo...

Patrzno, jakie perełki, pewnie trzyma próbe (s).

MICHAŁ (*wypiwszy, patrząc w kieliszek*).

Wyśmienita kminkówka, lecz szkło diabła grube.

POSTYLION.

Któż bo pije kieliszkiem! to zwyczaj zbyt stary.

Złe trzeba mierzyć, dobre niech będzie bez miary.

(*Pije z butelki i podaje Michałowi*).

MICHAŁ.

Nie mogę — ja za trochę mam już dosyć trwogi.

POSTYLION.

Ej, masz wisić (!) za jedną, wiś za obie nogi.

Bierz że...

MICHAŁ.

Ale..

POSTYLION.

Ja każę!

MICHAŁ.

(*Kilka razy jeden po drugim pije*). Usłuchać cię muszę.

POSTYLION.

Wypij już reszta (s).

MICHAŁ.

Jeszcze tylko raz się skuszę (*pije*).

(*Po krótkim młczeniu, ziewając*).

Coś mnie niby ten trunek co raz bardziej marzy,
Spałbym, gdybym się nie bał naszych gospodarzy.
Słuchajno, towarzyszu, mam ja mego pana
Jeszcze z Warszawy dużą butelkę szampana.

(*Dostaje z tłumoczka*).

Wypij go, na me słowo, lepszy od gorzałki.
Ja powiem, że się potłukł w drobnouchne kawałki,
Jeśli, jak ja spać będę, popilnujesz trochę,
Bo mam jakowąś bojaźń i marzenia płochę.

POSTYLION (*biorąc butelkę*).

Dobrze, dla ciebie zrobię... połóż się na ławie...
Bądź spokojnym, jak gdybyś sam czuwał na jawie.

MICHAŁ (*powtarzając słowa pana swego*).

Pilnuj mnie z tą krucicą; w przypadku ataku,
By mnie przestrzedz, wystrzelisz, (*ciszej*) rozumiesz, lajdaku?
(*Głośno*) Tylko nie zaśnij Wasze, pamiętajże sobie:
Honor (s), życie i skórę powierzam ja tobie.
(*Kładzie się na ławie przy stole*).

POSTYLION (*pije*).

Co za przedni truneczek... tak po gardle bieży,
Tak weseli, że przy nim zaśpiewać należy
Pieśń moją do gorzałki. Ale nic nie szkodzi;
Byle się dobrze upić, o to tylko chodzi.
(*Śpiewa i za każdą strofą pije*).

1.

Jestem szczęśliw, gdym pijany,
Szczęśliwszy nad wszystkie pany.
Niejeden z nich przy swym złocie
Gorzko dni pędzi w kłopotcie,
A u mnie niczem świat cały,
Gdy palnę kielich gorzały.

2. *)

Zazdroście mi wy królowie,
Bo choć każdy możny w mowie,
Na pragnienie jest skazany,
A ja zaś codzień pijany
I topię nieszczęść zbiór cały,
Gdy palnę kielich gorzały.

3.

W dniu kieliszka wszystko znika,
Wolnym robi niewolnika,
Nawet nędzarz, jak go zoczy,
Radośnie w górę podskoczy
I topi nieszczęść zbiór cały,
Gdy palnie kielich gorzały.

4.

Jeżeli kogo los nęka,
Albo kto w chorobie stęka,
Jeśli trzeźwym mu jest bięda,
Niech ze mną idzie do żyda,
Wnet zapomni ból swój cały,
Gdy palnie kielich gorzały.

Hola!... Hola!.. dość tego, już próżniutka flaszka.
Oho... dość tego... ale... wszystko to jest fraszka.

(Chodzi po izbie, zataczając się).

Tylko diabeł wie z czego, coś mam chęć do spania,
A tu, jak widzę, niema żadnego posłania.

*) Druga strofa może być opuszczona, gdyby aryetka zadługa była. *(Przypisek w rękopisie).*

Pozbieram różne graty, sam sobie pościelę
I chociażby na stole, prześpię się niewiele.

(Zdejmuje płaszcz z Michała, wyjmując z pod jego głowy zawiniątko, ściele na stole i kładzie się, cicho powtarzając ostatni wiersz piosneczki).

SCENA VI.

GOSPODYNI — KMOTR *(spiąc)* — MICHAŁ
i POSTYLION *(spiąc)*.

GOSPODYNI.

Ciężko i oka zmrużyć w strasznym hałasie;
Bez tego dzień już będzie po niedługim czasie.
Ot znowu ktoś kołacze... zaraz... zaraz idę.
A ten chrapie — z tym głuchym nieznośną mam bidę.
Kmotrze... kmotrze !...

KMOTR.

Cóż znowu ? podróżni przybyli ?

GOSPODYNI.

Idź im otwórz.

KMOTR *(wstając)*.

Czy diabli ich naprowadzili...
(Bierze światło i odchodzi).

SCENA VII.

GOSPODYNI, potem KASZTELAN — MARYSIA.
(Michał i Postylion spiąc).

GOSPODYNI.

W samej rzeczy coś znaczy ten zjazd u nas rzadki,
I sprawiły go pewnie jedynie przypadki.
Jak tu mieszkam rok szósty na świętego Jana,
A nie miałam na nocleg i jednego pana.

KASZTELAN.

Czy gosposia?

GOSPODYNI.

Do usług.

KASZTELAN.

A, kłaniam Waszmości,

Oglądasz dziś u siebie niespodzianych gości.

Niegodziwa tu droga między wasze bory,

Piaszczysto, gdzie niziny, wywrotno, gdzie góry.

GOSPODYNI.

Nikt tą drogą nie jeździ, najłaskawszy panie,
Chiba czasem na jarmark tutejsi włościanie.

KASZTELAN.

Nie trzeba mi to mówić, wiedziałem, że taka,

Przeto kazałem ruszać tęgiego kłusaka,

A żwawo do gościńca dążąc przed wieczorem,

Szturka koło i razem zrywa pas z resorem.

Diabelsko nas ten kazus zafrasował srodze,

Boć to nie bardzo miło nocować na drodze;

Jednak na forytarską szkapę wsiąść kazałem

I nauczywszy drogi, po ludzi wysłałem.

GOSPODYNI.

Dziwno, że tu trafili.. wieś w takiej uboczy,
Że nawet wśród południa ciężko ją kto zoczy.

KASZTELAN.

Ho... ho... znam ja, Mopani, te wioski i lasy,

Nieraz jam tu polował dawniejszemi czasy —

Tak więc, nim jakiegokolwiek dostałem pomocy,

Po godzińce (s) ubiegło i kawałek nocy,

Potem zaś, jak omackiem, wlekąc się powoli,

Dowlekliśmy się przecie (*uchylając czapki*) z twojej, Boże,

[woli.

Teraz daj nam izdebkę, proszę ja Waszmości,
Przecie jaka być musi gdzie na osobności.

GOSPODYNI.

Była jedna gościnna, tę ci goście wzięli,
Którzy także, jak myślę, zabłądzić musieli.

KASZTELAN.

Aha!.. tej nocy, widzę, feralne ciemnoty
Nie na nas tylko jednych rzuciły kłopoty.

GOSPODYNI.

Jeśli pan chce w alkierzu moim się położyć...

KASZTELAN.

Bardzo dobrze, każ Wasze pościele tam złożyć.
(*Gospodyni wychodzi, lokaje do alkierza tłumok znoszą*).

SCENA VIII.

KASZTELAN, MARYSIA, (MICHAŁ i POSTYLION, *spiąc*).

KASZTELAN.

To zdarzenie nas spóźnia w podjętej wyprawie,
Jednak najdalej jutro będziemy w Warszawie
I gdy mój pan syn Edward najmniej się spodzieje,
Nazwę cię synowicą, niech się co chce dzieje.
Lecz cóż płaczesz?... tem trujesz mą słodycz jedyne.

MARYSIA.

Ah, dobry opiekunie, wiesz łez tych przyczynę.
Edward na wielkim świecie uciechom oddany,
Może tyle niepomny, ile jest kochany;
Czyż już dotąd niestarte przywiązania ślady?
Zawsze zwykł on być zimnym, gdzie małe zawady,
Jedna tylko przeciwność żądania w nim rodzi,
A mnie napróżno pono nadzieja uwodzi.

KASZTELAN.

Nie... nie... Bo chociaż wprowadzie u mego Edwarda
Do posłuszeństwa głowa po diabelsku harda,
Ma jednak dobre serce i niewielkie wady,
Więc całkiem nie odrzuci przychylniej porady;
A gdyby nie pomogły ro[z]sądne uwagi,
Wtenczas użyć potrafię ojcowskiej powagi.

MARYSIA.

Ah, porzuć, dobroczyńco, te myśli tak srogie,
Z przymusu moje szczęście byłoby za drogie...
Ah, miałabym ja sprawiać Edwarda niedolę,
Wierzej mi, że w strapieniu sama zostać wolę.

KASZTELAN.

Lube dziecko... znam dobrze twój sposób myślenia.
Gdy cię pozna, nie trzeba będzie przymuszenia...
Jego szczęście jest moim, zostań bez obawy.
Na chwilę go odurzył harmider Warszawy,
Lecz to minie... i równie, jak ze snu zbudzony,
Zdumieje, że bez zasług został nagrodzony.
Ty to będziesz nagrodą, ty mu przetrzesz oczy,
A on z tobą w ślad cnoty pobiegnie ochoczy.

MARYSIA.

Nadzieja ze mną zawsze, i wieleż to razy
Łudziłam się podobnie słodkimi obrazy —
Oby ich kiedy nieba łaskawe ziściły !

KASZTELAN (*z rozczuleniem*).

Tak, sprawdzi się, bądź pewną, ten widok tak miły.
Dozwoli Bóg wszechmocny, że przy moim zgonie
Uściskam was obojga na ojcowskim łonie.
(*P. k. m.*) Idź, kochana Marysiu, niech cię sen zasili,
Bo wkrótce pojedziemy, nie tracąc i chwili.
(*Marysia odchodzi*).

SCENA IX.

KASZTELAN, MICHAŁ, POSTYLION (*spiąc*).KASZTELAN (*patrząc w okno*).

No, całkiem noc już znikła, dzień piękny jaśnieje.

Co tam z mą połamaną kolasą się dzieje?

Muszę ja sam zobaczyć... majstrów dopilnować,

Byśmy tu nie musieli raz jeszcze nocować.

(*Postylion, chcąc się ruszyć przez sen, spada na Michała, na ławie śpiącego, a z tym razem na ziemię; myśląc, że po-
jazdem wywrócił, krzyczy, jak na konie, by stanęły*).

POSTYLION (*leżąc na ziemi*).

Wywróciłem, do diabła.

MICHAŁ (*na ziemi*).

Umieram, o nieba!

POSTYLION.

Ah nie... ja w izbie... tylko zaprzęgać potrzeba.

(Zrywa się) Biegnę i gotów jestem za minutę jedną.

(Prędko wychodzi).

SCENA X.

KASZTELAN, MICHAŁ.

MICHAŁ (*czotgając się do nóg Kasztelana*).

Ah!... najmożniejszy królu, daruj życie biedne...

Ja jestem sługa... goły... jak to zwykle bywa,

Wszak wolisz iść do pana, któren (*ręką wskazując*) tam
[spoczywa.

KASZTELAN.

Ja cię zabić nie myślę... skądże ci to w głowie?

MICHAŁ.

Co?... Nie zarzniesz, zdoprawdy?

KASZTELAN.

Szczerze waści mówię.

Straszne jakieś marzenie jeszcze ci się snuje —
Jestem także podróżnym i tutaj nocuję.

MICHAŁ (*wstając*).

Myślałem, że napadli diabli lub złodzieje,
Ale nie dziw, że człowiek dalej oszaleje,
Gdy w okrutnych przypadkach z wieczora do rana..
Gdy nędznie służyć musi u takiego pana.

KASZTELAN.

Któż twój pan? i skąd jedziesz? wybaczone, jestem ciekawy.

MICHAŁ.

Mym panem jest Uczciwski, jedziemy z Warszawy.

KASZTELAN.

Co... co... Edward Uczciwski?

MICHAŁ.

Tak, syn kasztelana.

KASZTELAN (*na stronie*).

Mój syn tu... co za szczęście!

MICHAŁ.

Może krewny pana?

KASZTELAN (*po krótkim zastanowieniu*).

Nie... lecz o nim słyszałem, że trzpiot nad trzpiotami.

MICHAŁ.

Trzpiot, choć temu nie winien, mówiąc między nami.
Ma ojca kasztelana, daj mu Boże zdrowie,
Dobra dusza, jak mówią, ale pustki w głowie.

KASZTELAN (*z gniewem*).

Co ty... (*na stronie*) trza milczeć.

MICHAŁ.

Bywał on mądrym w sejmiki,
Bo zuch do korda, gęsto machał krzyżowniki,
Nie raz jeden tём wspierał interes ojczysty;
Słowem, był to, słyzałem, junak zamaszysty,
Jednakże teraz starym, a głupim jest przecie,
Nie wie, co to być młodym na warszawskim świecie.
Samego w owy odmet z domu puścił syna;
Że się chłopiec rozpuścił, jego-że to wina?

KASZTELAN (*na stronie*).

Dalibóg, prawdę mówi, (*głośno*) aż cię słuchać miło,
Tak pięknie prawisz.

MICHAŁ (*na stronie*).

Nie wiem, co mi się zrobiło.

KASZTELAN.

Powiedzże-no mi Wasze, to ów panicz młody
Figli napłatać musiał i nie małe szkody?

MICHAŁ.

Na wołowejby skórze ciężko spisać było,
Jednak w krótkości powiem, co mu się zdarzyło:
Ojciec pisał, że wiezie jakąś marmuzele
I że mu chce bez zwłoki wyprawić wesele.
Ten, kćóren nie je, nie śpi, nie poruszy głową,
Jak tylko wszystko dziwnie, modnie, romansowo,
Ten, kćóren być przekłada przy miłości w nędzy,
Jak w spokojnym pożyciu mieć dużo pieniędzy,
Najmocniej oburzony takiemi układy,
Aby temże (*s*) zapobiedz, nagłej szuka rady,
Chce wykraść mężateczkę — co się nie udaje,
A gdy w wściekłym zapale mąż mu w drodze staje,
Przecina go na dwoje...

KASZTELAN.

I na śmierć zabija?...

MICHAŁ.

Ani drgnął; (*pokazując*) tu padł tułów, tam głowa i szyja.

KASZTELAN (*na stronie*).

O nieba, cóż ja słyszę!

MICHAŁ.

Ledwie rzecz skończona,

Co tylko ma, przegrywa wszystko w faraona,
Goły i zadłużony ucieka z Warszawy,
W odmiennych awanturach szukając zabawy,
Gdy wczoraj po tym lesie, pewnie z boskiej kary,
Błądzimy i wjeżdżamy w ten budynek stary.

KASZTELAN (*z przymuszonym uśmiechem*).

Widzę, twój pan wesoły.

MICHAŁ.

To jak mu wypadnie,

Co w czytany romansie zda mu się być ładnie.
Raz czytał o złym panu, a wnet i on taki,
Dalejże mnie okładać twardemi kulaki,
Ja zaś, nie będąc owych baśni amatorem,
Ledwie oknem uciekłem. — Ręce mym honorem,
Że gdyby mi wpadł w ręce jaki romansista,
Wyrzwałbym mu przynajmniej batogów ze trzysta —
Wszakże to jest prawdziwa trucizna na świecie.

KASZTELAN.

Pewnie się już gdzieś kocha? pewnie...

MICHAŁ.

Ah, nie przecie,

Lecz chciałby z całej duszy.

KASZTELAN (*na stronie*).

Tego nam potrzeba,
Na mą jeszcze pociechę ustrzegły go nieba.
(*Do Michała*) Dziękuję, że mi chciałeś rzecz opowiedzieć,
I cudze interesa nie zaszkodzi wiedzieć.
(*Michał układa swoje sprzęty i potem wychodzi*).

SCENA XI.

KASZTELAN (*sam*).

Gwałtem, widzę, z tym panem ciężko co poradzić
I w gorsze położenie możnaby wprowadzić.

(*p. k. m.*)

Korzystajmy z przypadku, a zręczność nam może
Więcej, jak przekładania, w tym razie pomoże.

(*p. k. m.*)

Wyborna myśl do głowy nagle mi przychodzi..
Wszak w dobrym zamiarze oszukać się godzi?
Marysi kibić kształtna, wdzięki, uśmiech miły,
Kopami by chłopaków w potrzebie łowiły;
I ten by jej nie uszedł rycerz romansowy,
Gdyby nie miał tak dziwnie ustrojonej głowy.
Więc przy czulej bajeczce droższe mu się zdadzą,
Nawet panicza same urojenia zdradzą;
Byłem tylko mógł moją nakłonić dziewczynę,
To jak pajaka w własną złapiem pajacynę,
A gdy raz w zastawione nasze sidła wpadnie,
Na zawsze go ustalić, będzie nam już snadnie,
A czey (*s*) w końcu ro[z]sądek nam także pomoże.
Chodźmy wziąć się do rzeczy... w tobie ufam, Boże!
(*Odchodzi*).

SCENA XII.

EDWARD (*sam*).

Co za dzika kraina, z przyjemnością zgodna,
Odkrywa i upiększa dnia jasność pogodna.

Od godziny już patrzę na niebios sklepienie,
 Jak się nieznacznie nocne przedzierały cienie,
 Jak gwiazdy na błękiecie bladły i niknęły,
 Gdy zorzy pierwsze ognie na wschodzie błysnęły;
 Inaczej oddychałem, a słuch mój pieszczony
 Wzbudzonego skowronka łagodnemi tony,
 Chwytał razem i innych ptasząt świergotanie
 I pobliskiego ciche strumyka szemranie.
 Szczyty jodeł, pierwotnym promieniem złożone,
 Wstrzymywały me oko słodko zachwycone.
 Widziałem, jak wstał motyl z dzikiej róży łona,
 Wstrząsał skrzydółki, a barwa zabłysła zroszona;
 Widziałem sta piękności, dla mnie dotąd nowe,
 Gdy słońce, wschodząc, świata oświeca budowę,
 I wesołe z ciemnoty natury powstanie
 Mnie jednego pogrąża w bolesne dumanie...
 Miłość, nienawiść życia, rozkosz i tęsknota,
 Uciecha i żal w przemian sercem mojem miota,
 Jedynie tylko czulej miłości w nim bycie
 Dałoby mi przyjemnie uczuć moje życie.

(Po krótkim milczeniu).

Nie powtórzą skał twardych podziemne sklepienia
 Kochanki, której nie mam, imię lub westchnienia!...
 Boże, słuchaj mej prośby, daj przystęp litości
 I rzuć w me palne serce iskierkę miłości.

SCENA XIII.

EDWARD — MICHAŁ.

MICHAŁ.

Cóż to pan znowu wzdychasz? cóż za nagła zmiana?
 Wszakże kontent z przypadków śmiałeś się od rana.
 Czemuż mnie nie porzuca humorek pogodny,
 Tylko wtenczas, gdyś goły, strudzony lub głodny.

(Edward, nie słuchając Michała, siada i bierze książkę).

(Na stronie, po krótkim milczeniu).

No, to już po nas, kiedy swój romansik czyta.

(*p. k. m.*) Pojedziem my dziś, panie? (*Edward surowo się na niego spogląda*) postyilion pyta.

(*p. k. m.*) Pewnie się tu zabawim, miło nam tu siedzieć.

(*p. k. m.*) Wiele mil do gościńca, chciałbym ja też wiedzieć.

(*p. k. m.*) Pewnie dobra być musi droga do Krakowa?...

(*p. k. m. na stronie*). Dalibóg, że słuch stracił, próżne moje
[słowa.]

(*Przybliżając się i głośno*)

Już muszę się zapytać, choć mnie pan wyłajesz,

O czem myślisz?

EDWARD.

(*Wstając z gniewem*). Żeś głupi i głupim zostaniesz. (*Odchodzi*).

MICHAŁ (*sam*).

Krótko i węzłowato... Jednakże niegrzecznie...

Być łajnym i bitym, to nas czeka wiecznie... (*odchodzi*).

SCENA XIV.

KASZTELAN, MARYSIA (*w stroju wieśniaczym*).

KASZTELAN.

Pewne... pewne zwycięstwo odniosiem w tym boju —

Jeszcześ lubką (*s*) piękniejszą we wieśniaczym stroju.

Nie poznałbym krwi mojej w jedynaku synie,

Gdyby się nie zakochał w tak hożej dziewczynie.

Oczko, usta, pierś, nóżka, kibić jak ulana,

Dalibóg, że samego warta kasztelana.

MARYSIA.

Ah! moje pomieszanie... pewnie rzecz odkryje...

Nie wiem, czemu drzę cała... serce nagle bije

I zawczasu Edwarda wejżenia się boje.

KASZTELAN.

Boisz się być poznana?... próżne niepokoje.

Osiem lat niewidzenia w pamięci zaciera...

A młodzież co rok innej postaci nabiera ;
 Od czasu, moja panno, jakeś go widziała,
 O połowęś urosła, razem wyładniała —
 Gdzieżby poznał u licha!

MARYSIA.

Ale głos mnie zdradzi.

KASZTELAN.

Chociaż także się zmienił, udać nie zawadzi.
 Im większa nieśmiałość, lzy i narzekanie,
 Tem prędzej po litości nastąpi kochanie,
 Tem prędzej będzie skutek spiskowej namowy.
 Ja pokazać się będę w alkierzu gotowy,
 Gdy usłyszę pod drzwiami, że tego potrzeba.
 No, idę ufny w tobie i w opiece nieba (*ciągnie ją*).

SCENA XV.

MARYSIA (*sama*).

Udawać... i udawać dla serca zyskania —
 Ten sposób nader srodze szlachetność mą zrania,
 I nim to tylko Edward może zniewolony
 Nie będzie chciał obłudzie być winien swej żony,
 A choć mnie i zaślubi, ujęty pozorem,
 Czyż nie wymknie się z siatek tymże samym torem?
 Powie: »Nie dziw się, żono, że cię mąż nie kocha,
 »Wszakże miłość gwałtowna zawsze bywa płocha,
 »Wszakżeś przecie mą rękę fortem dostała;
 »Ja ci otwarcie mówię, żeś się nudną stała«...
 Powie — ah! i uleci, a mnie biedną żonę
 Okrutnie dręczyć będą męki zasłużone..
 Nie — nigdybym się skłonić do tego nie dała,
 O, nigdybym ja stroju tego nie przywdziała,
 Gdyby nie wdzięczność kładła na mnie obowiązek,
 Choćby z własną przykrością ułatwiać ten związek.

SCENA XVI.

MARYSIA, MICHAŁ.

MICHAŁ (*przypatrując się Marysi*).

A to co?... młode dziewczę... czy to przewidzenie? (s)

MARYSIA (*na stronie*).

Pewnie służący... jakże przykre położenie!

MICHAŁ.

Nie... nie... i ładna jeszcze, o mój dobry Boże!

Tu w tej diabelskiej karczmie, czy też to być może?

(*Z zastanowieniem na stronie*).

Hola! hola... mnie matka często zwykła mawiać,

Że czarownice różnie umią (s) się wystawiać,

By zwabić łatwowierną niejedną figurę...

Ah nie!... to dziewczę... dziewczę, już czuję przez skórę.

(*Przybliżając się z przymileniem*).

Popieśmy się troszeczkę, turkaweczko mała —

Obiecuję cię kochać, byleś mnie kochała.

Czegoż odwracasz ślipki... zyrknijże łagodnie

I palnij mi całuska serdecznie i zgodnie.

(*Chce ją ucałować*).MARYSIA (*odpychając go*).

Puść mnie!

MICHAŁ.

Nie!

MARYSIA.

Krzyczeć będę.

MICHAŁ.

Tem ja się nie wzruszę.

Całusek, a wnet puszcze.

MARYSIA.

Ah! uciekać muszę.

(Wyrzywa się i ucieka).

MICHAŁ *(goniąc)*.

Czekaj... Hej!... nie uciekaj... buziaczku kochany.

(Marysia ucieka ku drzwiom przed Michałem. Edward nagle wchodzi).

SCENA XVII.

EDWARD, MARYSIA, MICHAŁ.

MARYSIA.

O nieba! Edward!

EDWARD *(z zadziwieniem)*.

Edward... czyż ci jestem znany?

MARYSIA *(z pomieszaniem)*.

Tak... nie...

EDWARD.

Tak — nie... cóż znaczy ta mowa *(obracając się)* Michale?

MICHAŁ.

Panie?...

EDWARD.

Wszak ona płacze... Coś zbroił?

MICHAŁ

Nie wcale.

EDWARD *(porywając go za piersi)*.

Gadaj, łotrze, hultaju...

Fredro: Intryga na prędeu.

MICHAŁ.

Piękne mi nazwiska
Pan dajesz, a wie diabeł, co jej łyzy wyciska.

EDWARD.

Dlaczegoż ją goniłeś?

MICHAŁ.

Bo uciekać chciała.
Ona w nogi, ja za nią...

EDWARD.

Więc przyczynę miała.
(*Przybliżając się z gniewem*).
Mówże — chcę wiedzieć.

MICHAŁ.

Chciałem pysek ucałować —
Wszakże niema tak bardzo czego lamentować.

EDWARD (*popychając go ku drzwiom*).
Cóż to?... ten urwis, widzę, drwinki jeszcze plecie.
Idź precz, jeżeli nie chcesz oberwać po grzbiecie.

MICHAŁ.

Aha, sam na sam lubi pan być z dziewczętami.
Nie trzeba łąjać, tylko drzwi wskazać oczami.
I ja też żyję w świetle i w ciemie (s) nie bity,
Wiem, że dwóch jest zawiele u jednej kobiety. (*Odechodzi*).

SCENA XVIII.

MARYSIA, EDWARD.

EDWARD (*na stronie*).

Ah, ta postać... ten smutek i te łez strumienie
Działają w mojej duszy nieznane wzruszenie.
Głośno) Uśmierz twój żal i powiedz, co go sprawiać może?

MARYSIA (*na stronie*).

Cóż mam mówić... gdzież myśli tak prędko ułożę...

EDWARD.

To zdziwienie, mnie widząc, i te (s) pomieszanie
Czyż nie kryją jakowej tajemnicy?

MARYSIA.

Panie...

Żadnej niema skrytości, błahe są twe wnioski.
Jestem córką biednego karczmarza tej wioski,
Imię twe wiem od matki. Gdyś wstrzymał natrętą,
Krzyknęłam, lecz jedynie radością ujęta.

EDWARD.

Krzyk ten nie był radosny, piękniutka dziewczyno,
Inny to pewnie sekret był jego przyczyną;
I nie wierzę powieści twojej ani słowa,
Sama nawet twa czysta, nie krakowska mowa,
Żeś nie z tej okolicy, całkiem cię wydaje...
A te bieluchne rączki... także mi się zdaje
W pracy bywać niezwykły.

MARYSIA

(*spoglądając na ręce z pomieszaniem*)

Białe?... prawda... ale...

Ja w domu siedzę... w polu nie pracuję wcale.

EDWARD.

Lecz brylant u wieśniaczki na palcu nie bywa,
Twa kształtność, postać, wszystko nareszcie odkrywa,
Że nie jesteś tem, pani, czym strój okazuje.

MARYSIA (*klękając*).

Ponieważ nadaremnie ukryć się siłuję,
Do nóg twoich rzucona wyznać prawdę muszę,
Lecz czyż szczerym wyznaniem litość twoją wzruszę?

EDWARD (*podnosząc ją*).

O nieba!.. wstań... co czynisz... sama nawet skała
Twojej anielskiej postaci wzruszyćby się dała.

MARYSIA.

Czyż na złe nie użyjesz mego zaufania?

EDWARD.

Poprzestań krzywdzącego tak dla mnie pytania...

MARYSIA.

O! niech cię nie uraża ostrożność lękliwa,
Ze strachem los swój zwykle zwierza nieszcześliwa.
Małom ciębie, Edwardzie...

EDWARD.

Więc ci jestem znany?

MARYSIA.

W dzieciństwie...

EDWARD (*z uniesieniem*).

O! te (*s*) zejście — traf z nieba zesłany!
Traf w życiu najszcześliwszy! Lecz któż jesteś, pani?
Powiedz, jaki to smutek duszę twoją rani?
Ah, pewnieś barbarzyństwa niewinna ofiara —
Pewnie macocha młoda, lub stryjanka stara,
Lub też zdzierca majątku, opiekun okrutny,
Na wieczne ci mieszkanie daje klasztor smutny;
Albo wręcz (*s*) twej miłości, (*z westchnieniem*) co się często
[zdarza,

Chcą cię wieść mimowolnie do ślubów ołtarza,
I by choć gwałtem wymódz twoje zezwolenie,
Wtrącili w jakie ciemne podziemne więzienie.
Skąd to pewnie uchodzisz?

MARYSIA.

Zgadłeś już połowe (s) —

Matylda jest me imię...

EDWARD.

O! jak romansowe!

MARYSIA.

Ojciec mój na śmiertelnej pościeli złożony,
Zbyt fałszywą przyjaźnią od dawna łudzony,
Na chwilę, nim na zawsze zamknął swe powieki,
Wezwał nad mą młodością Serwalda opieki.
Zaledwie zniknął odgłos pogrzebnego dzwona,
Nagle byłam porwaną z dóbr ojczystych łona
I w puszczy, wśród tych lasów, w dzikiej samotności,
Ofiarą opiekuna mego przewrotności
W starym zamknięta gmachu. — Tam żelazną kratę
Kropiłam łzy gorzkiemi, płacząc ojca stratę.
Nie obił się głos ludzki żaden o me uszy,
Ni żadne pocieszenie nie ulżyło duszy,
Samych drapieżnych ptaków wrzaski przeraźliwe
Naśladować się zdały głosy me płaczhwe.

EDWARD.

O, nieszczęsna Matyldo!

MARYSIA.

Tak sześć lat niewoli
Cierpiałam, co dzień zebrząc końca mej niedoli.

EDWARD.

Oby tu mógł ten stanąć złoczyńca zuchwały,
Śmiercią zemściłbym w tobie obelgę płci całej,
I szczęśliwym się uznam, gdy tve boskie wdzięki
Nie odrzucać w potrzebie pomocy mej ręki.

MARYSIA.

Tak, Edwardzie, potrzeba mi twojej pomocy,
Lecz ro[z]sądku z milczeniem, ale nie przemocą.

EDWARD.

Mów, a twoje rozkazy uiszcze (s) ochoczy,
Obym tylko z łez otrzeć mógł twe piękne oczy;
Możnaż bowiem chwalebniej uwieńczyć swe życie,
Jak całe na obronę oddając kobiecie? —
Dokończ zatem.

MARYSIA.

Oddawna wzbierane już chmury
Zdały się nagle przedrzeć łańcuch swój ponury
I grom na mnie wyrzucić, gdy ów człek bez wiary,
Zdrady i zbrodni swoich dopełniając miary,
By przywłaszczyć na zawsze mój majątek cały,
Gwałtem żądał mej ręki, o serce niedbały. —
Przestraszona, w ucieczce szukam mej obrony,
Długo błędę, nakoniec przychodzę w te strony,
Gdzie się kryje (s), nie wiedząc, co się dalej stanie.

EDWARD.

Ah, chciej wybaczyć może nie w czasie pytanie,
Lecz niepewność mnie dręczy. — Czyż wstrętu powody
Nie były to miłości? -- Czyś ich znała wprzód?
Czy dotychczas twe serce... nie jest kim zajęte?

MARYSIA.

Nie, wszak nikogo nie znam.

EDWARD.

O! wy słowa święte!

MARYSIA.

Cóż cię obchodzi...

EDWARD (*przerywając*).

Mogę już mieć więc nadzieję,

Że niecałkiem napróżno miłością goreję,
 Że z czasem wzajemnością spleciona mi będzie
 I że może się zoczę w najszcześniejszych rzędzie?
 Tak, kocham cię, Matyldo, kocham nad wymowę.
 Przy tobie ja poznaję czucia całkiem nowe.
 Dawniej, zwodząc, kochałem, teraz kocham szczerze,
 Teraz w prawdziwe szczęście, teraz w stałość wierzę. —
 Lecz niech cię moja miłość, Matyldo, nie dziwi,
 W nowych romansach wszyscy kochankowie tkliwi,
 Z pierwszym wejrzeniem czują te ognie gwałtowne,
 Inaczejby z przyjaźnią były sobie równe.

MARYSIA.

Prędko płomień ugaśnie, gdy prędko zatleje —
 Zdaje ci się, że kochasz, bo nie nad nadzieję,
 Nic więcej nie posiadasz, lecz raz zapewniony,
 Nową wabion miłością, ulecisz od żony.

EDWARD.

Ah! że nią chcesz być, powiedz, a u nóg twych złożę
 Przysięgę, póki życia...

MARYSIA.

Przysięg nie pomoże,

Bo gdy, choć płocha, miłość do serca przemówi,
 Natenczas się nie daje przystępu rozumowi. —
 Więc ją (!) tu nie przyjmuję. — Wszak masz ojca przecie,
 Ojca, który w dawniejszym wychowany świecie,
 Nie wierzy, że jest miłość nad rozum wyniosła
 I aby bez rozwagi szczęście w śluby niosła —
 Lecz jest ojcem łaskawym, nie chce twej niedoli,
 Może zatem na twoje żądanie zezwoli.
 Niech tylko będą stałe, prośmy o to nieba. —

(*p. k. m.*) Teraz zaś, choć z przykrością, rozłączyć się trzeba... Żegnam cię.. tak mi bowiem powinność doradza.

EDWARD.

O nie!... mnie z tobą żadna nie rozłączy władza,
A same nawet niebo śmiercią tylko zdoła.
Tobie poświęcam życie, szczęście, wszystko zgola,
Ciebie tylko, Matyldo, chcę kochać jedynie.
Przysięgam (*klęka*).

(*Kasztelan przed kilkoma wierszami wchodzi i słucha*).

SCENA XIX.

KASZTELAN, EDWARD, MARYSIA, (*później*) MICHAŁ,
GOSPODYNI, POSTYLION.

KASZTELAN.

Brawo!... (*p. k. m.*) Gładko waści mowa płynie.

EDWARD (*zrywa się*).

Ah! o nieba! mój ojciec, nieszczerne spotkanie.

(*p. k. m. na stronie*)

Lecz tu miejsce (*s*) pokazać, co może kochanie.

(*p. k. m.*) Ojcze, chciej słuchać, potem twoją wolą będzie
Stanąć w kochanych ojców lub okrutnych rzędzie.

Przysięgam ci w obliczu wszechmocnego Boga,

Że żadne twe rozkazy, żadna boleść sroga

Póty piękną Matyldę ze mną nie rozłączy,

Póki jeszcze krwi kropla w żyłach się mych sączy...

Wyrzekam się majątku, gdy mi pęta wkłada,

Dosyć już ten bogaty, kto miłość posiada;

Jej to nagle, lecz trwałem ożywiony technieniem,

Żyć z Matyldą jest mojem jedynem życzeniem.

A gdybym wiarołomnym miał zostać, niech prędy

Życie me będzie zbiorem sromoty i nędzy!

Niechaj będę (*s*) szarpanym ciężkimi katuszy!

I jak zbrodniarza, Boże!... niech twój piorun skruszy...

KASZTELAN.

Gdy już więc tak przysięga straszna wyrzeczona,
(stając między niemi, bierze go za rękę, p. k. m.)
 Pójdź... uściskaj Marysię, to twa narzeczona.

EDWARD *(z zadziwieniem)*.

Marysię?

MICHAŁ *(na stronie)*.

Oto figiel... ojciec się nie gniewa;
 Całkiem inaczej romans spotkanie opiewa.

GOSPODYNI.

Jak karczma karczmą, takie dziwy się nie działy.

POSTYLION.

Toż za zdrowie wesela wypalę gorzały!

KASZTELAN.

Dziwi waści ten wielki cud, jak się spodziewam,
 Że Matylda Marysią, a ja się nie gniewam.

EDWARD.

Ja nie wiem...

KASZTELAN.

Więc rzecz całą powiem w jednym słowie:
 Usłyszawszy o twojej romansowy *(s)* głowie,
 Przypadkiem się zjechawszy, poszłem *(s)* na fortele,
 Chcąc w skutek przyprowadzić was dwojga wesele,
 Które waść, panie synu, tak miałeś w pogardzie.

MARYSIA.

Żem cię na chwilę zwiedła, wybaczysz Edwardzie?

MICHAŁ *(na stronie)*.

Nic to przed ślubem.

EDWARD.

Owszem, za ten sposób nowy
Wdzięcznym tobie, jest bowiem całkiem romansowy.
Uciekać, błdzić, kochać, w karczmie znaleźć żonę,
W dziejach takie zdarzenia są nieprzeplacone.

KASZTELAN (*na stronie*).

On zawsze swoje... (*głośno*) Ale... a ów mąż przecięty?

MICHAŁ (*klaniając się*).

To mój żarcik... zdrów będzie.

KASZTELAN.

Wszystkim spokój święty,
A Bogu chwała, kiedy tak się mają rzeczy.

MICHAŁ.

O, chwała Bogu... teraz nikt mi nie zaprzeczy,
Że moje votum niczem, bom nie był z diabłami.

EDWARD.

Jednak nieby nie było, mówiąc między nami,
Gdybym nie był napłatał awantur w Warszawie.

MICHAŁ (*do Kasztelana*).

Gdybym ja pana nie był objaśnił w tej sprawie.

KASZTELAN.

Gdyby się mój przypadek nie był nagle zrządził.

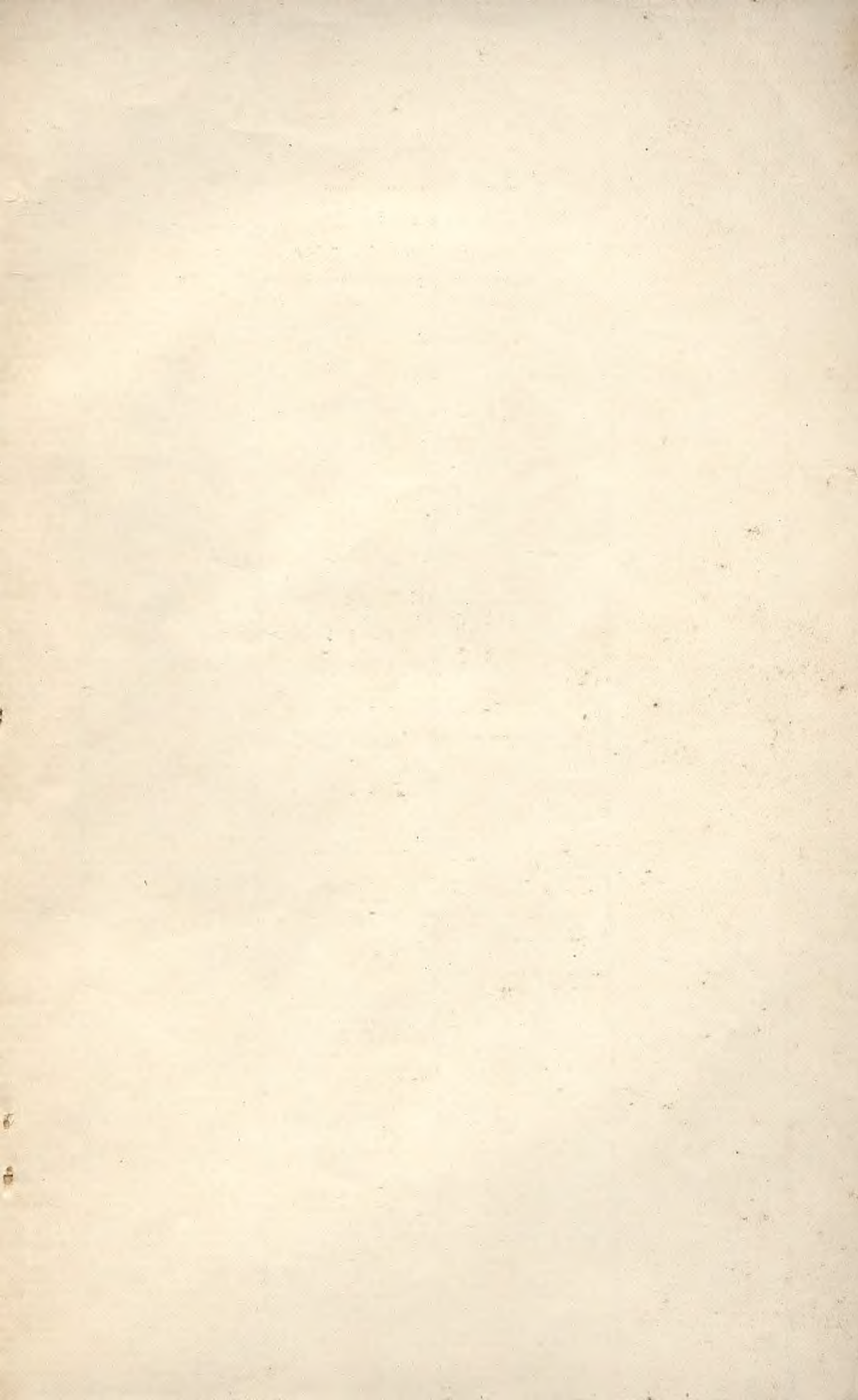
POSTYLION.

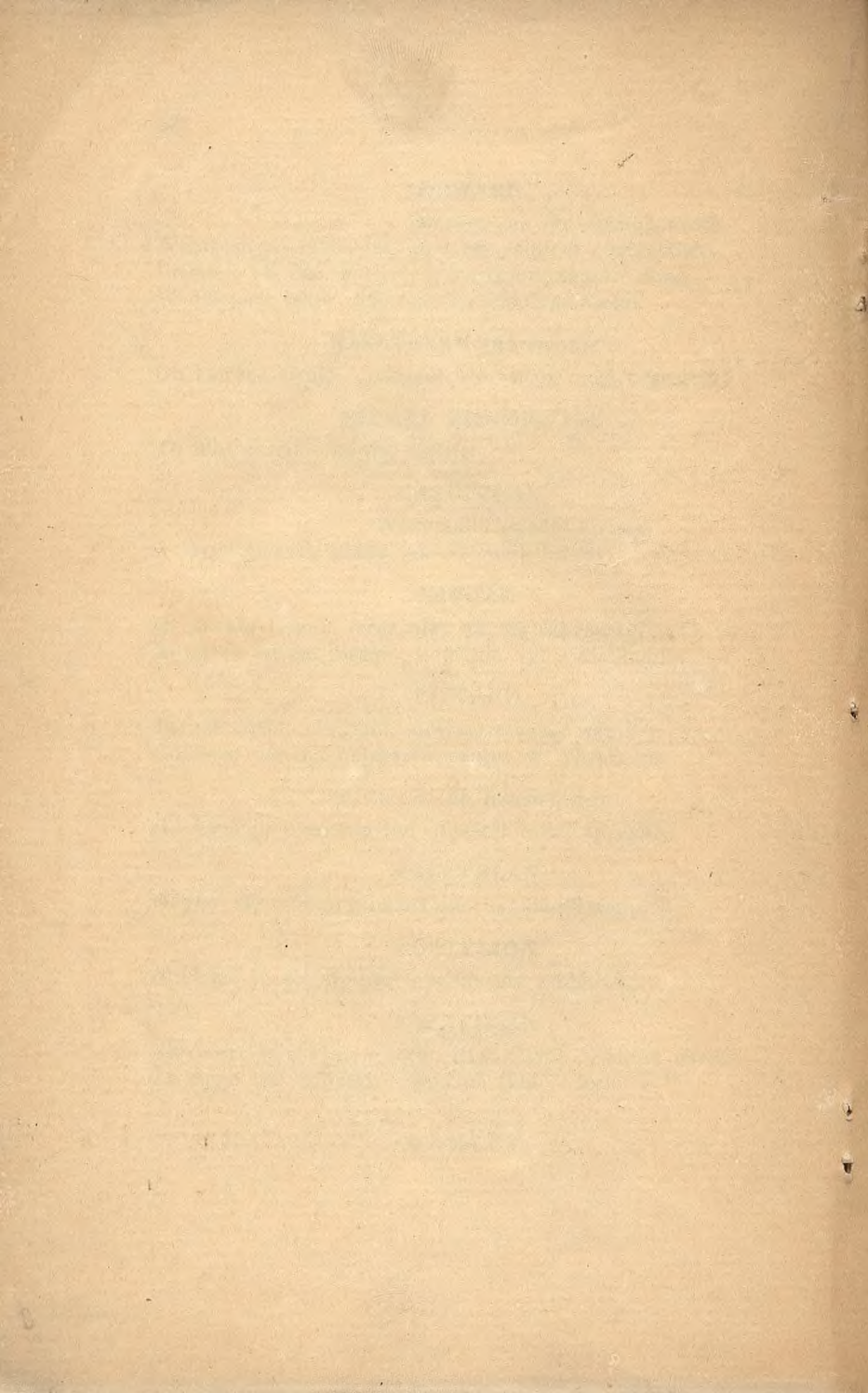
Gdybym ja się nie upił i w las nie zabłądził.

KASZTELAN.

Na dobre wszystko wyszło, więc z tych zdarzeń wiecie,
Że złego bez dobrego niema na tym świecie.

K O N I E C.





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000543444



II 108336